

302/150 Rela [Renia] Safot

Rela [Renia] Safot

Dokument numer VII/150 „Strona aryjska”

W roku czterdziestym pierwszym, 20 lutego, przybyłam z moją rodziną do getta warszawskiego, serce ściska mi się, gdy patrzę na ściśniętych garściami Żydów, którzy zamknięci zostali w małej części Warszawy. Ludzie tułają się po ulicach, brakuje mieszkań, nie ma się gdzie podziać. Najgorszy los spotyka biednych, bo bogaci mogli sobie, za wielkie pieniądze, wynająć u kogoś jakiś pokój, a biedni nie mieli nawet drobnych pieniędzy, a jest taka ciężka zima. Śnieg leży wysoko na ulicach, mróz szczypie w twarz. Aż serce boli gdy się patrzy jak małe, biedne dzieci biegają po ulicy- stopy owinięte szmatami, ręce schowane w porwane rękawy, szczękające zęby, oczy proszą o to, aby mieć nad nimi litość.

Dwa tygodnie później jest jeszcze gorzej. Prawie na każdej ulicy widać z daleka białe, wielkie plamy, gdy się do nich zbliżyć okazuje się, że jest to duży, biały arkusz papieru, a pod nim leży martwe ciało, to ofiara głodu. Na papierze leżą dwa kamienie, wiatr nie powinien zdmuchnąć arkusza. Wiele takich ofiar było co dnia. Zdarzało się, że ktoś leżał w ten sposób przez cały dzień, gdyż *khesed shel emes* [towarzystwo pogrzebowe] miało dużo pracy. Zdarzało się także, że ściągano z martwego resztki jego szmat, pozostawiając go leżącego nago przykrytego papierem. Przyglądając się takim scenom, postanowiłam wydostać się z getta. Ale nie było to tak łatwe, jak się wydaje. Kiedy odważyłam się u nas w domu napomknąć, że noszę się z myślą wyjścia z getta, nie da się opisać lamentów i prośb mojej matki, i dwóch młodszych sióstr, abym nie zostawiała ich tu, w ogniu, gdzie każdego dnia ma się przed oczami śmierć. Najgorszy był dla mnie widok płaczącej matki i pozostałam w getcie, ale postanowiłam nie mówiąc nic nikomu w domu, przy pierwszej możliwej okazji wydostać się z getta. Minęło sześć tygodni, a ja wciąż jestem w getcie. Pewnego pięknego poranka wyszłam z domu mówiąc, że idę do kuzynki na ulicę Komitetową, mieszkaliśmy wtedy na Dzielnej, naprzeciwko Pawiaka, postanowiłam nie pozostawać już dłużej w twierdzy-głodu. Przychodząc do getta miałam trochę pieniędzy, resztę zostawiłam w naszych miasteczku Błonie pod Warszawą u znajomej niemieckiej tłumaczki, która miała mi to dostarczyć do Warszawy. Ale nie wyszło tak, jak uzgodniłyśmy. Znajoma kobieta, Jaworska, nie mogła mi tego przynieść, i nie miała ku temu okazji. Ta odrobina pieniędzy rozeszła się, z dnia na dzień rosną ceny; nie mam żadnej pracy, chociaż jestem pierwszorzędną szwaczką koszul sportowych. Nie mogłam wykorzystać mojego talentu w warszawskiej

„twierdzy głodu”, i kiedy zaszło już tak daleko, że jadłam surowego, czerwonego buraka, gdyż nie było drewna, żeby go obgotować, jadłam go surowego i płakałam, obiecując sobie, że dłużej już czekać nie będę. Gdy wyszłam z domu udałam się do pierwszej wachy, która znajdowała się na rogu Pawiej i Okopowej. Przestałam tam dwie godziny nie mogąc przedostać się na chrześcijańską stronę. Poszłam do drugiej wachy, na rogu Leszna i Żelaznej, stoję tam też ze dwie godziny i nie udaje mi się. Idę do trzeciej wachy, na róg Chłodnej i Wroniej; tam nie jest także łatwo zrealizować mój plan. Poszłam do czwartej wachy na rogu Żelaznej i Grzybowskiej, jest już godzina czwarta i widzę, że także tam nic nie zdołam zrobić. Stojąc tak i rozmyślając, co zrobić dalej, słyszę, jak niedaleko mnie jedna dziewczyna mówi do drugiej, że z Ogrodowej można wyjechać z getta za 10 złotych karetką pogotowia. Więcej z tego co mówiły już nie usłyszałam, gdyż zaraz odeszłam do mojej kuzynki na ulicę Komitetową i poprosiłam ją o trochę herbaty, gdyż bardzo chciało mi się pić, nie wspominając jej o tym, że jestem bardzo głodna. Tego dnia nie jadłam jeszcze nic. Kuzynka zatrzymała mnie chwilę u siebie. Po całym dniu tułaczki powróciłam do domu, nie wiedząc, jaka tragedia właśnie się tam rozgrywa. W domu zastałam czworo sąsiadów z zatroskanymi twarzami. Rozglądałam się i nie widzę mojej matki. Siostry stoją koło łóżka zapłakane. Serce mi się ściska, nie mogę wymówić żadnego słowa, tylko moje oczy „pytają” co się stało. Sąsiedzi pozwalają mi zbliżyć się do łóżka i widzę moją matkę, która leży blada, z otwartymi oczami, które nie patrzą na nikogo. Oczy sprawiały wrażenie dwóch szklanych oczu. Stoję tak kilka sekund patrząc na moją matkę i potem- na moje dwie siostry i przenoszę wzrok na sąsiadów. Ale nikt nie mówi ani słowa, panuje martwa cisza. Moje spojrzenie pada znowu na moją matkę, ale nie widzę żadnej zmiany. Rzucam się gwałtownie na moją matkę: - Mamo, co ci jest? Ale nie odpowiada mi. Mocno więc nią potrząsam i równocześnie każę sobie podać ocet: może to pomoże. Ale jakaś kobieta mówi, że zaraz przyjdzie doktor i zrobi mamie zastrzyk. Powiedziałam jej, że zanim przyjdzie doktor, ocuciłabym mamę octem, zemdląłaby dziesięć minut temu. Kiedy otworzyła oczy i ujrzała mnie, westchnęła głęboko i powiedziała: - To ty? A ja myślałam, że nas zostawiłaś...

Znowu nie byłam w stanie wymówić ani jednego słowa. Sąsiedzi rozeszli się, kilka minut później przybył doktor, który zbadał moją matkę i zrobił jej zastrzyk. Za badanie nie wziął ode mnie żadnych pieniędzy. Po odejściu doktora przyszedł do nas młody człowiek z Leszna 40, i zapytał czy jest już Renia Safot. Powiedziałam, że to ja jestem poszukiwaną osobą, i czego żąda ode mnie, a młody człowiek powiedział, że niecałą godzinę temu był tu i zastał pełen dom ludzi, nie wiedział, co się stało i natychmiast odszedł. Teraz przyszedł ponownie, gdyż ma dla mnie 200 złotych, od tłumaczki z Błonia, Jaworskiej. Dał mi także kawałek

zapisanego papieru, który podpisałam, jako poświadczenie, że dostałam pieniądze. Pożegnał się i odszedł, a mnie naszły różne myśli. Noc minęła spokojnie, moja mama przespała całą noc aż do późna następnego dnia. Następnego dnia matka czuła się lepiej, jej oczy spoglądały na mnie z błaganiem, rozumiałam jej spojrzenie, ale mój plan na wydostanie się z getta nie zmienił się, poczekałam trzy dni, aż matka poczuła się już dobrze. Czwartego dnia wyszłam z getta biorąc ze sobą jedynie 10 złotych i szybkim krokiem udałam się na ulicę Ogrodową, gdzie z niecierpliwością czekałam na pogotowie, które nie pojawiło się szybko. O godzinie czwartej po południu przyjechało pogotowie i do karetki wsiadło około dziesięciorojedenastu ludzi, każdy z nas zapłacił po dziesięć złotych i przejechaliśmy przez wachę na Leszno i Żelaznej z walącymi sercami siedzimy przyciśnięci jeden do drugiego. Straż zatrzymuje pogotowie, doktor wysiada ubrany w swój biały fartuch, i wyjaśnia straży, że wiezie ambulans na parówkę (dezynfekcję). Kiedy pogotowie ruszyło z miejsca, wszyscy odetchnęli z ulgą. Szofer pojechał bardzo szybko i nagle zatrzymał się. Otwiera się okno i szofer mówi, że możemy już wysiadać. Wyskakuję pierwsza, po mnie- pozostali i przestraszona rozglądam się, gdzie się znajduję: nieznana okolica, gdzie nie widać żadnego człowieka. Zbliżyła się do mnie dziewczyna, która jechała razem ze mną i mówi, że jest z Leszna, siedem kilometrów od Błonia, że zna mnie z widzenia, i że pokaże mi drogę do naszego miasteczka, Błonia, gdyż zna już tę drogę. Podziękowałam i powiedziałam, że będę szła oddalona od niej i jej znajomej, gdyż dziewczyna nie była sama. Wolałam iść sama, aby nie zwracać na siebie uwagi przechodniów. Idę, ale nie widzę drogi, przed moimi oczami stoi: moja matka i moje siostry, jak siedzą wszystkie zatroskane. Nie wiem, jak długo szłabym jeszcze tak zamyślona, gdyby nie sygnalizacja jakiegoś samochodu, który stał niedaleko ode mnie. Rozglądam się i wtedy widzę, że stoję na środku szosy. Szybko schodzę z drogi, bojąc się, aby mnie nie zatrzymano, nawet się nie odwróciłam, tylko poszłam przed siebie. Samochód minął mnie, a szofer ręką pokazał w moim kierunku jakiś znak, którego nie zrozumiałam. Idąc dalej odpędziłam od siebie wszystkie myśli, które zbliżały się niepostrzeżenie jedna za drugą, pod wpływem tego strachu poczułam się bardzo zmęczona, dokładnie tak, jakbym niosła najcięższy ciężar. I wtedy nadszedł wóz z gnojem [śmieciami]. Poprosiłam woźnicę i kazał mi usiąść na sianie, które leżało na gnoju. Przejechałam z nim dwa kilometry, gdyż tam znajdowało się jego pole, podziękowałam mu i udałam się w dalszą drogę piechotą. Z Warszawy do Błonia jest odcinek dwudziestu ośmiu kilometrów, odeszłam jedynie pięć kilometrów od Warszawy, mam przed sobą jeszcze dwadzieścia trzy kilometry. I znów zaczynam myśleć o domu. Co powie moja matka, kiedy nie przyjdę na noc do domu? Biję się z myślami:

- „Wracać, czy nie? Nie! Nie! Nie wracać! Muszę iść dalej, żeby ratować moją matkę i siostry przed śmiercią głodową!”

Zmęczona, głodna, ledwo ciągnę nogami. Robi się już ciemno, a ja jestem jeszcze tak daleko. Zaczyna padać coraz mocniej i mocniej, jestem cała mokra. O godzinie dziesiątej znajduję się w Świącicach, to pięć kilometrów od mojego miasteczka, ale nie mogę iść dalej. Samochody jeżdżą tam i z powrotem, a ja nie mam się gdzie podziać. Ryzykuję i pukam do drzwi, odzywa się męski głos:

- Kto puka teraz, kiedy nie można już chodzić po ulicy?

Proszę, aby pozwolono mi przesiedzieć w sieni, gdyż jestem bardzo przemoknięta. Wychodzi właścicielka i mówi, że nikomu nie pozwala u siebie nocować.

Zmęczona, załamana, przepelniona strachem idę z szosy na drogę, która prowadzi do Józefowa, gdzie znajduje się fabryka cukru, stamtąd jest także droga, która prowadzi do mojego miasta. Chociaż wiedziałam, że udaję się w daleką drogę, osiem kilometrów lub więcej, miałam pewność, że nikogo teraz nie spotkam na drodze, podczas gdy szosą jechało wiele samochodów, gdyż była to droga międzynarodowa; Warszawa- Berlin, idąc drogą do fabryki cukru spotkałam dwie osoby. Zapytałam je, jak późno jest, odpowiedziały, że jest już godzina jedenasta. Jedna z nich zapytała mnie, gdzie idę tak późno, gdyż po ulicy można chodzić tylko do godziny dziesiątej. Powiedziałam im, że idę do organisty z Rokitna- Galeka (Galka), gdyż moja matka jest chora i potrzebuje jego pomocy. Uwierzyli mi i poszli w swoją stronę, a do mnie zbliżył się jakiś człowiek i objaśnił mi drogę. Powiedział, że podsłuchiwał, o czym rozmawiałam z tamtymi dwoma osobami, ale nie da mi iść dalej, gdyż za fabryką stoi straż niemiecka, która mnie aresztuje. Zaprowadzi mnie do swojego znajomego, gdzie będę mogła przenocować. Jego żona jest bardzo zła, z tego powodu nie może zabrać mnie do siebie, śmierdziało od niego wódką, mam wątpliwości i nie wiem, co robić: iść czy nie iść. Rozpłakałam się bardzo i różne myśli kłębiły się w mojej głowie: jedna gorsza od drugiej. Chrześcijanin poprosił mnie, abym nie płakała, nic złego mi się nie przytrafi, chce tylko przyjść mi z pomocą, zgadzam się i wracam z nieznajomym pijakiem. Uszedłszy tak pół drogi on się zatrzymuje, zapala papierosa i ogniem oświecła moją twarz, dziwi się bardzo, że moja matka pozwoliła mi udać się samej w drogę, pyta, co zmusiło mnie do tego i czy mam jeszcze siostry i ile mają lat, oraz jak mieszkaliśmy przed wojną, czy mam jakieś pieniądze. Słyszac ostatnie pytanie upewniłam się, że nie spotkałam porządnego człowieka. Nie mogłam wydusić z siebie słowa, zrobiło mi się jeszcze zimniej, niż mi było, potem zapytał jeszcze:

- Ile masz lat? Gdzie mieszkasz? Przyjdę do ciebie...

Odpowiedziałam mu trzęsącym się głosem, że moja matka jest bardzo chora i że mieszkamy w Warszawie, żeby ratować rodzinę idę do mojej rodziny do Rokitna do organisty po pomoc. Daję mu do zrozumienia, że nawet gdyby mnie zabił, nie znajdzie u mnie ani grosza. Pytam go, czy największą rolę odgrywa teraz wiek?

Zostawiam go stojącego i chcę wrócić, chrześcijanin bierze mnie za rękę i mówi:

- Nie pozwolę Ci wrócić, - ale chcę ci pomóc- i wyjmuję z kieszeni na piersiach portfel z pieniędzmi, nie licząc daje mi pieniądze, i mówi:

- Weź te pieniądze, będziesz mogła dzięki nim uratować swoją matkę. Podziękowałam mu, ale pieniędzy nie wzięłam, tylko bardzo się rozplakałam. Wtedy bardzo mnie prosił, żebym nie płakała, bo ktoś może usłyszeć i mogą mnie aresztować. Czy zrozumiał już kim jestem, nie wiem, proszę go, żeby zaprowadził mnie do swojego znajomego. Dochodząc do domu, w którym mieszka jego znajomy, spotkamy na podwórku starszego chrześcijanina, do którego zwrócił się mój towarzysz [z prośbą], żeby mnie przenocował. Stary wprowadził nas do siebie do domu i mój towarzysz zapłacił za stos słomy, żebym miała na czym spać, następnie ukląkł przy mnie i pomógł mi zdjąć z nóg buty, z których wylała się woda. Potem pożegnał się ze mną i powiedział, że jeśli chcę przeżyć to wszystko, powinnam według niego wciąż pamiętać i przypominać sobie, że spotkałam pijanego chrześcijanina, ale porządnego. Odchodząc ponownie dał mi pieniądze, ale mu je zwróciłam. Potem powiedział, że po raz pierwszy w życiu spotyka kobietę, która znajduje się w krytycznym położeniu finansowym i odmawia wzięcia pieniędzy. Pożegnał się jeszcze raz i poszedł do siebie do domu.

Była już godzina dwunasta w nocy, poprosiłam starego chrześcijanina, żeby dobrze zamknął drzwi, żebym była pewna. Przez całą noc nie zamknęłam oczu, wydawało mi się, że ktoś przychodzi po mnie, tak, w strachu, minęła mi ta noc. Rano udałam się w drogę do Błonia. Dochodząc do bocznych uliczek w naszym miasteczku, doszłam do naszego byłego, chrześcijańskiego sąsiada, Barca, bardzo się ucieszył, kiedy mnie ujrzał i potem powiedział do mnie:

-Teraz nie umrzesz już z głodu.

Trzy dni byłam u naszego sąsiada Barca.

Dłużej nie chciałam zostać bo dużo myślałam, co moja mama myśli tam w Warszawie, może znowu jest chora?

Sąsiad dał mi pełen kosz z jedzeniem z żywnością i dwieście złotych zapowiadając, że nie powinnam zostać w getcie, ale powinnam ratować się z moją matką i siostrami. O pierwszej w nocy, przyszedł po mnie sąsiad, gdyż, jako strażnik nocny miał pozwolenie na poruszanie się po ulicy przez całą noc. Cicho jak złodziej wykradłam się z domu, żeby nie było widać, że

idą dwie osoby. Przez uliczkę doprowadził mnie do szosy, gdzie stał duży wóz z Sochaczewa, który jeszcze kilka tygodni temu miał żydowskiego właściciela, a dziś znajduje się w rękach folksdojczy, na wozie znajdowało się jeszcze szesnastu chrześcijan z Sochaczewa, właściciel wozu był dobrym znajomym mojego sąsiada Barca, któremu obiecał uważać na mnie przez całą drogę. Pożegnałam się z moim sąsiadem i wyruszyliśmy w drogę. Przejechaliśmy tak osiemnaście kilometrów, nagle zostaliśmy zatrzymani przez niemiecką żandarmerię i dwóch polskich policjantów. Jeden polski policjant wszedł do wozu, i złośliwie zapytał:

- Ilu Żydów znajduje się tu między wami?

Spojrzałam wtedy od razu na niego, nie odwracając głowy w drugą stronę, aby nie ściągać na siebie uwagi. Jedna chrześcijanka odezwała się- przyjrzyj się dobrze, może znajdziesz. Policjant odpowiedział jej, że Żydów poznaje po oczach, a jego wzrok padł wtedy na młodą chrześcijankę, która miała pomalowane włosy: nie były one ani jasne ani brązowe, zwrócił się do niej, aby pokazała mu dokumenty. Wszystko było w najlepszym porządku, gdyż natrafił na urodzoną chrześcijankę, jechał także szwagier chrześcijanki, który stroił sobie żarty z policjanta, że był pewien, że złapał szczupaka, ale się omylił.

Podczas dalszej drogi towarzyszyło nam szczęście, dojeżdżając do Warszawy i stojąc niedaleko wachy na Chłodnej i Wroniej, zauważyłam, że jakiś chrześcijanin obserwuje mnie stale. Pomyślałam, że jestem zgubiona, prawie godzinę stoję w rogu i nie widzę już możliwości wejścia do getta. Wtedy chrześcijanin zbliżył się do mnie, i cicho zapytał, czy chcę przejść przez wachę, ze strachu nie mogłam wymówić słowa, dałam mu tylko znak głową, że tak. Powiedział mi, że to będzie kosztowało dziesięć złotych. Dałam mu, a on odszedł ode mnie, i podszedł do chrześcijańskiego policjanta. Patrzyłam za nim przerażonymi oczami, nie wiedząc, czy jest uczciwym człowiekiem, czy aferzystą. Chwilę później przekonałam się, że chrześcijanin zajmuje się ułatwianiem przedostawiania się do getta, od czego dostaje pewien procent. Następnie chrześcijanin przechodzi koło mnie i mówi mi po cichu, że mogę już przejść, na szczęście przejeżdżał wtedy tramwaj, i żandarm z drugiej strony nie mógł mnie zobaczyć.

Nie da się opisać radości, która towarzyszyła mi, gdy udało mi się wnieść do domu wszystko to, co otrzymałam. W domu wszyscy płakali z radości, moja matka przycisnęła mnie do siebie i płacząc powiedziała, że nie pozwoli mi już iść do Błonia, chociaż cierpią głód chce, żebym była razem z nimi. Nie odpowiedziałam na to nic, tylko rozpakowałam małe paczuszki, w których znajdowały się: mąka, kasza, cukier, mydło, butelka oleju, dwa kilogramy chleba, pół funta masła i dwieście złotych. Po dwóch dniach pobytu w domu zaczęłam ponownie zastanawiać się nad wyjściem z getta. Trzeciego dnia, kiedy przygotowywałam się do wyjścia

z domu, moja matka zapytała mnie, dokąd się wybieram. Oszukałam ją wtedy, że idę do kuzynki na ulicę Komitetową, gdyż byłam pewna, że jeśli powiem jej, że szykuję się do tamtej drogi, matka nie wypuści mnie z domu. Kiedy wyszłam z domu matka powiedziała mi, że nie powinnam ociągać się zbyt długo i szybko wrócić. Kiedy wyszłam z domu poszłam na ulicę Leszno. Tam mieli wywozić grupę rodzin żydowskich na „parówkę” na polską stronę. Rozmówiłam się tam z żydowskim policjantem, który miał prowadzić grupę. Dałam mu dziesięć złotych aby wpisał mnie w ten szereg, a po stronie polskiej oddzielić się już od wszystkich.

W ten sposób wielu wydostawało się z getta; rozumie się ci, którzy ryzykowali i nie bali się. Stoimy już ustawieni jak żołnierze i przechodzimy obok strażników, którzy liczą ilu nas jest. Po przejściu na stronę chrześcijańską oddzieliłam się od grupy. Spostrzegłam, że niektórzy zrobili tak, jak ja. I znów wyruszyłam w drogę do Błonia. Droga minęła mi w ciszy, kiedy zbliżałam się już do naszego miasteczka Błonia, dzień był jeszcze w pełni i aby mnie nie rozpoznało, obwiązałam sobie prawe oko białą chusteczką do nosa. Na szczęście, na ulicy na której mieszka chrześcijanin Barc, nie spotkałam nikogo kto mógłby mnie znać. Gdy wchodziłam do domu Barca serce waliło mi, jak młotkiem, ponieważ wchodząc na schody bałam się, żeby nie otworzyły się gdzieś jakieś drzwi, i żeby nie zobaczył mnie któryś z sąsiadów, nie chciałam tego. Na mój widok Barc powiedział z zadowoleniem, że teraz już nie pójde tak szybko do getta.

25-go maja chrześcijanin Barc poszedł na pocztę i zapytał, czy można wysłać paczki do getta. Znajomy listonosz powiedział mu, że można, ale do dwudziestu kilo i tylko kartofle. Barc wrócił do domu wielce zadowolony, i wkrótce przyniósł z piwnicy duży worek kartofli i nakazał zrobić z tego dwa mniejsze worki i tego samego dnia wysłał paczkę do getta. Dodałam mu także list do zanieśienia na pocztę, w którym prosiłam moją matkę, żeby miała litość nad sobą i nie płakała, kiedy tylko będę mogła pomożemy jej. Po dwutygodniowym pobycie u chrześcijanina musiałam uciekać stamtąd, ale nie do Warszawy. Barc poszedł do mojej dobrej znajomej, która kiedyś pracowała u mnie przez kilka lat i umówił się z nią co do mnie. Wieczorem poszłam do chrześcijanki, u której pracowałam dwa tygodnie i zarobiłam trochę pieniędzy, które Barc, pocztą wysłał mojej matce w getcie.

Byłam u mojej znajomej w ostatnim pokoju, na którego drzwi zawieszony były perskim dywanem a obok stała piękna kanapa. Nagle słyszę na podwórku hałas, w domu powstała okropna panika. Nie wiedziano, co robić, zostawić mnie dalej w domu, czy też powinnam wyjść z domu drugim wyjściem. Otworzyły się u mnie drzwi i moja znajoma mówi mi, że na podwórku jest kilku żandarmów, nie wie, czy szukają kogoś. Wyszłam z domu i weszłam na

strych, gdzie ukryłam się w wielkiej klatce dla kur, która zastawiona była koszami i żelazną kuchnią za którą mogłam się bardzo dobrze ukryć, leżałam tak do godziny jedenastej wieczorem. Potem okazało się, że żandarmi nikogo nie szukali, zobaczyli tylko, że świeci się w oknie i nie wiedzieli do kogo to okno należy. Gdy zapadła cisza zeszłam ze strychu i nie chciałam już zostać na noc u znajomej. Zaryzykowałam, i poszłam o tak późnej porze do chrześcijanina Barca, zapominając, że o godzinie jedenastej nie zastanę go już w domu, gdyż jest strażnikiem nocnym i wychodzi z domu o godzinie dziesiątej a wraca o godzinie czwartej rano. Na szczęście po drodze nie spotkałam nikogo. Pełna strachu weszłam na podwórko i cicho jak kot weszłam na schody i podeszłam do drzwi. Niestety napotkałam zamknięte drzwi. Cicho zeszłam z powrotem na podwórko i usiadłam pod schodami, które prowadzą do piwnicy. Siedzę pełna strachu i czekam jak wierny pies na swego gospodarza. Nagle słyszę rozmowę, coraz bliżej, po głosie rozpoznałam folksdojczka z naszego miasteczka a z nim kilku żandarmów.

Ta noc ciągnęła się, jak cały rok. Nie wiem, jak jest już późno, siedzę tak pełna strachu, rozmyślając o swoich problemach. Obok przebiega pies, nagle zatrzymuje się i zaczyna głośno szczekać. Poczułam się jak sparaliżowana, gdyż była pewna że jest to pies gończy i wkrótce przyjdzie żandarm, do którego ten pies należy. Na szczęście nie przyszedł żandarm, ale chrześcijanin Barc, któremu uciekł pies, i razem z chrześcijaninem weszłam do domu, a tam opowiedziałam mu wszystko. Chrześcijanin powiedział, że już mnie więcej nie wypuści z domu i na ile tylko będzie mógł sam, będzie starał się przyjść z pomocą mojej rodzinie, bez mojej pomocy. Powiedziałam mu jednak, że nie tylko moja rodzina potrzebuje pomocy, ale także moja znajoma- Rachel Kaczka- oraz nasi byli sąsiedzi, rodzina Wrona. Chrześcijanin zrozumiał, że nie chcę obarczać go całym ciężarem i powiedział, że z pewnością będę miała miejsce do pracy u zaufanych ludzi, i że godzi się na to. Mieszkam tak przez kilka dni u chrześcijanina i wtedy przypominam sobie, o mojej znajomej chrześcijance, która mieszka jedenaście kilometrów od Błonia. Na dzień, w którym ponownie miałam opuścić dom dobrego chrześcijanina- mojego wybawcy wybrałam dzień targowy.

O godzinie trzeciej po południu 15-go czerwca 1941 mój wybawca wyprowadził mnie z miasta. Ponieważ był to dzień targowy, ponieważ zabandażowałam sobie prawe oko, i ponieważ było wielu ludzi ze wsi, nie ściągałam na siebie uwagi, i wyszłam z mojego miasta nierozpoznana przez nikogo. Mój wybawca przeszedł tak ze mną mniej więcej trzy kilometry. Zachmurzyło się i wtedy poprosiłam go, żeby wracał, dalej pójdę sama. Zrobiło mi się go żal, był starym człowiekiem, który ma dziś 65 lat. Ale nie chciał wracać sam, tylko ze mną, gdyż

miał przecucie, że nadchodzi niebezpieczna burza. Nie zgodziłam się, pożegnałam się z nim i w dalszą drogę udałam się sama.

Idę tak rozmyślając o gorzkim losie, który spotkał niektórych Żydów, nagle zerwał się silny wiatr, który sypał piaskiem w oczy, nie widziałam, dokąd idę. Czarne chmury ciągnęły się po niebie jedna po drugiej, strach było być między drzewami przy szosie, gdzie się znalazłam. W pobliżu nie było żadnego domu, w którym mogłabym się zatrzymać. Zaczęło mocno błyskać się i grzmieć, zaczęło bardzo padać, schowałam się pod szeroko rozrośniętym drzewem, żeby schować się przed deszczem i przed wiatrem. W pobliżu burza wyrwała wielkie drzewo, trzymałam się mocno drzewa, żeby burza mnie nie porwała. Nawałnica szalała tak długo, czuję, że jestem cała mokra. Strumień łez popłynął z moich oczu i pomyślałam, co powiedziałaaby moja mama, gdyby wiedziała, że znajduję się teraz pod gołym niebem. Ale odpędziłam od siebie wszystkie myśli i tylko jedna myśl, wbrew mnie, pozostała przy mnie: uratować moją matkę i siostry od śmierci głodowej. Nagle zrobiło się cicho, już nie grzmiało, a wiatr nie wiał już piaskiem w oczy, gdyż na drodze było sporo wody. Miałam buty pełne wody, odetchnęłam z ulgą i poszłam dalej. Kiedy doszłam do znajomej chrześcijanki, Sikory, przyjęła mnie jak matka swoje dziecko. Musiałam zdjąć z siebie wszystko, a chrześcijanka dała mi suchą bieliznę i musiałam zaraz położyć się do łóżka. Następnego dnia zasiadłam do pracy i pracowałam do końca czerwca. Potem, przypadkowo zostałam rozpoznana przez chrześcijańską handlarkę starociami, która była na mnie zła, gdyż przeze mnie nie mogła sprzedać już żadnych starych ubrań, gdyż moja praca podobała się wszystkim. Handlarka zagroziła mi, że jeżeli zostanę tam dłużej, pójdzie do żandarmerii. Nie zwracając uwagi na to, że mam pracy na dwa miesiące, musiałam opuścić to miejsce, i znowu postanowiłam wrócić do Błonia. Sąsiad chrześcijanki jechał następnego dnia do Błonia, zabrał mnie ze sobą, dwa kilometry przed miastem spotkały nas dwie znajome chrześcijanki, zatrzymały nasz samochód i powiedziały do mnie, że powinnam mieć nad sobą litość i zawrócić, gdyż w mieście ma być oblawa. Odpowiedziałam im, że jest mi już wszystko jedno, czy w mieście szaleją żandarmi, czy na wsi grozi mi zawzięta handlarka i jadę dalej. Na rogatkach Błonia wyskoczyłam z wozu i poszłam na drogę, którą nie chodzi wielu ludzi, gdyż zwykle sprzedawano tam raz w miesiącu świnie. Droga ta prowadziła do poczty, a tam spotkałam znajomą chrześcijankę, która powiedziała mi, że powinnam zawrócić, gdyż jest jej żal, że miałabym wpaść w ręce morderców. Podziękowałam jej za radę, ale niestety nie mogłam jej posłuchać i poszłam dalej. Gdy byłam już jakieś pięćdziesiąt metrów od ulicy Warszawskiej, ujrzałam, jak wszyscy biegają z przerażonymi twarzami. Byłam pewna, że za chwilę ukaże się żandarmeria, ale ukazał się wóz załadowany Żydami, których złapano w Lesznie- 7

kilometrów od Błonia. Stałam w miejscu, jak zamurowana, nie mogłam zrobić kroku. Czułam, jak wszystko we mnie obumiera, czułam, że już więcej nie będę mogła pomóc mojej rodzinie. Z takimi myślami ocknęłam się ogarnięta wątpliwościami, ostatnimi siłami zaczęłam iść, dodając sobie odwagi, aby jak najszybciej przeciąć ulicę Warszawską. Gdy byłam już na ulicy 3-go maja, czułam się trochę wolniejsza, choć dzień był jeszcze w pełni, nie było widać żadnego człowieka. Gdy doszłam do chrześcijanina Barca, zastałam zamknięte drzwi. Zrozumiałam, że nie mam innego wyjścia niż iść z powrotem do Warszawy, gdyż nie mogę dłużej zostać na podwórku i czekać na powrót chrześcijanina. Bałam się, żeby ktoś z sąsiadów nie zobaczył mnie. Wychodząc z podwórka rozglądałam się na wszystkie strony, żeby nikt mnie nie widział. Na szczęście dostrzegłam chrześcijanina Barca, który zbliżał się do domu. Wszedł do domu, a ja za nim. Powiedziałam mu, że musiałam uciec ze wsi. Powiedziałam Barcowi, że jeszcze dziś chcę iść do Warszawy. Odpowiedział, że jest to niemożliwe, i że skończy się tak, jak za pierwszym razem, że po drodze zastanie mnie. Pytał czemu się tak śpieszę; czy stęskniłam się za odrobiną głodu? Każe mi zostać u siebie. Wysłał do Warszawy paczki a to, co zarobiłam, może też wysłać pocztą. Ja jednak chciałam zobaczyć moją matkę i siostry.

Mówię wtedy, że rano chcę iść do Warszawy, i proszę go, żeby kupił mi bandaż i paczkę waty, zabandażuję sobie tym połowę twarzy i w ten sposób pojadę koleją do Warszawy, ten plan spodobał mu się. Nie potrzebowałam nic kupować, wszystko miał w domu. Następnego dnia, o godzinie piątej rano, poszedł ze mną do kolei, kupił bilet i zaczekał aż pociąg ruszył z miejsca. Nikt mnie nie rozpoznał, gdyż miałam zabandażowaną połowę twarzy, zrobiono mi nawet miejsce do siedzenia. Myślałam: „Gdybyście wiedzieli, kim jestem.” Szczęśliwie przybyłam do Warszawy. Po przybyciu poszłam na ulicę Nowy Świat, gdzie mieszkała nasza dawna sąsiadka. Dochodząc do jej domu zdjęłam bandaż i przygotowałam się do pójścia do getta. Chrześcijanka miała znajomego żandarma i dlatego zaproponowała mi, żebym u niej przenocowała, a rano pójdziemy razem do getta, gdyż znajomy żandarm powie jej dziś wieczorem, gdzie będzie stał na wasze. Ona chce sobie kupić jakieś rzeczy w getcie. Wieczorem, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi chrześcijanka zamknęła mnie w drugim pokoju, szybko wyszykowała się i otwierając drzwi powiedziała do żandarma – gdyż to on dzwonił - że musi wyjść na ulicę coś załatwić. Usłyszałam, jak oboje wychodzą z domu i zapadła martwa cisza.

Kiedy chrześcijanka wróciła spałam już, przygotowała kolację i obudziła mnie, choć było jej żal przerywać mi sen. Zerwałam się szybko, kiedy jej ręka mnie poruszyła, zobaczyła w moim spojrzeniu, że jestem przestraszona. Wtedy powiedziała mi, żebym się nie martwiła,

rozmawiała ze znajomym żandarmem i powiedziała mu, że chce wejść do getta ze swoją znajomą, kupić coś tanio, kazał jej przyjść jutro o godzinie ósmej rano a do dziesiątej powinna już wrócić do wyjścia, gdyż później będzie zmiana.

Rano obie poszłyśmy na skrzyżowanie Wroniej i Chłodnej, i obie przeszłyśmy niezatrzymywane przez nikogo, gdyż żandarm, dostrzegając chrześcijankę udał, że patrzy w drugą stronę, udając, że nie widzi, że przechodzimy obok niego. Gdy weszłyśmy do getta od razu udałyśmy się do naszego domu, zapanowała nieopisana radość, chrześcijanka ścisnęła wszystkich i płakała. Pożegnała się z nami, dała trochę pieniędzy i wyszła z domu. Z wszystkich stron padały pytania, czy będę chciała z powrotem wyjść z getta, czy też zostanę ze wszystkimi razem. Moja odpowiedź była- Nie! Nie mogę zostać. Muszę dalej wędrować. Moja matka prosi mnie, żebym ich już nie opuszczała. Nic nie odpowiadam, tylko myślę sobie, że przy pierwszej okazji znów wyjdę z getta.

Pod koniec lipca znów jestem w Błoniu u chrześcijanina Barca. Droga minęła mi bardzo dobrze, byłam u chrześcijanina trzy tygodnie, i przez większość czasu siedziałam zamknięta w szafie, gdyż do chrześcijanina regularnie wpadała rodzina i często siedzieli nawet do dwóch godzin i, ponieważ chrześcijanin nikomu nie wierzył, zaczął się pewnego razu kłócić ze swoimi kuzynami bez powodu i powiedział, że nie muszą do niego przychodzić. Kiedy zostaliśmy sami, powiedziałam mu, że nie powinien się kłócić z mojego powodu. Powinien pamiętać o sobie, nie jest już młodzieniaszkiem, jest 60- letnim mężczyzną i pewnego dnia może potrzebować od swoich krewnych pomocy. Odpowiedział mi, że sam da sobie radę ze wszystkim i nie potrzebuje, żeby godzinami u niego przesiadywali, podczas gdy ja muszę się męczyć w szafie z ubraniami.

Wtedy przypomniałam sobie, że przed wojną wykonywałam wiele prac dla chrześcijanki, która mieszkała we wsi **Dębówka**. Jej mąż był wójtem gminy, w ciągu dnia, gdy Barc wrócił ze swojej warty nocnej, powiedziałam mu, żeby wyprowadził mnie z miasta, że pójdę do wójta, i może dostanę tam pracę, tak się stało. Gdy doszłam do wsi, do wójta, bardzo ucieszyli się, że przyszłam, [i powiedzieli, że] mają dla mnie dużo pracy, będę dla nich tanio szyła, a oni mnie przechowają. Kiedy już przepracowałam tydzień przyszedł do mnie chrześcijanin Barc i przyniósł list od mojej rodziny, w którym dziękowano za paczkę i proszono o dalszą pomoc. Chrześcijanin Barc kazał mi odpisać list i przekazać, że wysyła dwie paczki: jedną paczkę dla mojej matki, a drugą powinni rozdzielić między naszych sąsiadów- Wrony i znajomą- panią Kaczkę. Napisałam także, że wyślę 200 złotych, które zarobiłam. Więcej pieniędzy boję się wysyłać za jednym razem. Barc w międzyczasie odpoczął, gdyż **Dębówka** znajdowała się 6 kilometrów od Błonia, pożegnał się i obiecał mi, że jak tylko otrzyma list od

moich, od razu przyjdzie. Paczki będzie im wysyłał regularnie. Pracowałam na wsi u czterech osób: u każdej przez kilka tygodni.

23-go grudnia roku 1941 powiadomiłam Barc, aby do mnie przyjechał, gdyż chcę jechać do Warszawy. O godzinie ósmej byłam gotowa do pójścia do Błonia. W tym samym czasie chrześcijanin miał wyjść mi na spotkanie. Nie chciałam wziąć ze sobą żadnych pieniędzy. Ustaliłam, że pieniądze, które zarobiłam, Barc odbierze i wyśle później mojej rodzinie do Warszawy. Bardzo się bałam, aby nie rozpoznano mnie po drodze, a przynajmniej, żeby nie znaleziono przy mnie żadnych pieniędzy, ale moja znajoma chrześcijanka miała bardzo dobre serce i powiedziała do mnie:

-Nie bój się, nikt się nie dowie. Weź ze sobą pieniądze, a moja córka odprowadzi cię kawałek. Wzięłam pieniądze, pożegnałam się ze wszystkimi i opuściłam dom. Idziemy tak z moją towarzyszką, jakby nic nam nie groziło. Przeszedłszy razem kawałek drogi pożegnaliśmy się i każda z nas udała się w swoją stronę.

Ze strachu czułam się, jakby ktoś wylał na mnie wodę. Jest ciemno, tak że nie widać, dokąd iść. Myślałam już o tym, żeby wrócić, ale usłyszałam, że ktoś kaszle. Położyłam się wzdłuż drogi i czekałam, aż ukaże się ten, który kaszlał. Kiedy leżałam naszły mnie okropne myśli: jedna gorsza od drugiej. Leżałam tak i patrzyłam w ciemność, nagle dostrzegłam, niedaleko mnie na drodze, idzie wysoki gruby człowiek. Rozpoznałam w ciemności, że jest to chrześcijanin Barc. Krzyczę do niego:

- Panie Barc!

Zatrzymuje się. Ja prawie nie przesuwam się po drodze, podchodzi do mnie i mówi:

- Chodź! Nie bój się!

Oddałam mu pieniądze i kazałam iść za mną. Gdyby ktoś szedł, nie powinien widzieć, że idziemy razem. Barc został w miejscu, wyciągnął z kieszeni nagan na siedem nabojów i powiedział do mnie:

-Kto będzie chciał cię zatrzymać- padnie martwy!

Wtedy uświadomiłam sobie, że jest on prawdziwym bohaterem...

Doszliśmy do naszej ulicy za dziesięć dziesiąta wieczorem. Barc wetknął ręce w kieszenie, żeby być gotowym, ale wszystko przebiega spokojnie i szczęśliwie dotarliśmy do domu. Chrześcijanin zamknął mnie i poszedł do pracy, jest strażnikiem nocnym. O godzinie czwartej o świcie wrócił do domu. Szybko przygotowałam się: tym razem zabandażowałam tylko prawe oko czarną chustką. Na stacji chrześcijanin ponownie kupił bilet i poczekał, aż pociąg ruszy z miejsca. Do Warszawy dojechałam nierozpoznana przez nikogo. W Warszawie

udałam się na ulicę Nowy Świat do naszej bylej sąsiadki, tam zdjęłam bandaż z oka, ale stopa, w której miałam pieniądze, została zabandażowana.

24-go grudnia wychodzę z mieszkania znajomej chrześcijanki na ulicy Nowy Świat na ulicę Sosnową, gdzie można było przez druty dostać się do getta. Chodząc tak po ulicy czekałam na chwilę, w którym będę mogła wejść do środka. Nagle przychodzi dwóch chłopców, jeden w wieku 9 lub 10 lat, drugi w wieku 7 lat. Każdy z nich ma pełno kartofli w torbach, które przyszyte są do podszewek ich kurtek. Ściska mi serce, gdy patrzę na dwie przerażone twarzyczki, które bardziej są podobne do martwych niż do żywych. Obydwaj chłopcy biegają tam i z powrotem. Nikt z chrześcijan ich nie zaczepia, szukają miejsca, w którym można będzie podnieść druty do góry, żeby wejść. Dzieci podchodzą do drutów i młodszy podnosi druty, a starszy wczolguje się i już znajduje się getcie, ale nie trzyma drutów, żeby drugi chłopczyk mógł przejść, tylko odbiega od drutów. Rozdziera serce na widok chłopczyka, który ledwo krzyczy:

- Miej litość, ratuj mnie! Ale tamten nawet się nie ogląda.

Stoję i patrzę na wystawy, gdzie wystawione były zabawki na sprzedaż. Nagle dziecko zrywa się z miejsca i podbiega prosto do mnie i prosi, żebym je zasłoniła. Nie wiedziałam dlaczego. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że jakieś sto metrów ode mnie idzie dwóch żandarmów. Teraz zrozumiałam, dlaczego dziecko się chowa. Zastawiłam je jak tylko mogłam i błagałam Boga, aby mordercy byli ślepi, kiedy będą tu przechodzić. Nie wiem, czyje to było szczęście, że mordercy nie dostrzegli dziecka. Kiedy mordercy już przeszli, podszedł chrześcijanin, który wziął dziecko za rękę i zaprowadził do drutów i w ułamek sekundy dziecko znalazło się w getcie. Chrześcijanin powiedział wtedy do mnie: „Jakże nieszczęśliwe są te dzieci z getta”. Nie odpowiedziałam ani słowa, tylko pomyślałam, jak długo będę czekała na chwilę, aż także ja będę mogła wejść do getta. Nagle widzę, jak młoda chrześcijanka odbiega od policjanta i za chwilę wraca z chrześcijaninem, który niesie worek mąki. Zrozumiałam, że przekupiła policjanta. Czekam jeszcze kilka minut a worek mąki już jest w getcie i niosą już kolejny. Wtedy podchodzę do chrześcijanki i proszę ją, że zapłacę jej, jeżeli umożliwi mi wejście do getta. Bierze ode mnie dziesięć złotych, i kilka minut później przerzucono mnie przez druty tak, jak worek z mąką.

Z ulicy Sosnowej do Niskiej, gdzie mieszkaliśmy, nie było blisko. Gdybym miała skrzydła pofrunęłabym, aby być jak najszybciej w domu. Gdy już dotarłam do domu wszyscy płakaliśmy z radości. Mama cały czas bez żadnej przerwy wołała:

- Moje dziecko, zostań z nami. Pomyśl tylko, ilu już zastrzelono z tych, którzy przeszli na drugą stronę.

Ja jednak ponownie odpowiedziałam, że przy pierwszej okazji wrócę do naszego miasteczka. Gdy tak siedziałam, matka dostrzegła, że mam zabandażowaną nogę. Zaczęła jeszcze bardziej płakać: co ja sobie zrobiłam. Uspokajam ją, zdejmuję bandaż i pokazuje jej, dlaczego musiałam zabandażować stopę. Bardzo się ucieszyła, kiedy spod bandaża wyciągnęłam 900 złotych. Uregulowałam wszystkie długi, jakie moja rodzina była komuś winna, zapłaciłam czynsz za cztery miesiące z góry, pozostałe pieniądze dałam matce.

Po kilku dniach w getcie znowu zaczęłam myśleć o ponownym wydostaniu się stamtąd. W piękny poranek wyszłam z domu o godzinie 7 rano, mówiąc, że idę na ulicę Prosta 12 do szwalni, może dostanę tam pracę przy szyciu. W rzeczywistości poszłam na Krochmalną i Waliców, do drutów przy których stałam wystraszona od wpół do ósmej do 3 po południu. Byłam głodna, zmarznięta i przerażona. 5 mężczyzn zostało zastrzelonych przy drutach przez niemieckich morderców, którzy ustawili się w otwartym oknie na Waliców, i strzelali do wszystkich, którzy choć zbliżali się do drutów. Zobaczyłam, że moje oczekiwanie jest daremne i wróciłam do domu.

24-go stycznia 1942 roku ponownie wyszłam z getta przez cmentarz na Gęsiej, kupując u żydowskiego policjanta „przepustkę”, do wyjścia na Gęsią na cmentarz żydowski, stamtąd wydostałam się na stronę chrześcijańską. Nie będąc rozpoznana przez nikogo doszłam do ulicy Wolskiej, a stamtąd poszłam na lewo, na Towarową, a stamtąd Alejami Jerozolimskimi na Nowy Świat, do tamtej sąsiadki, gdzie przenocowałam.

25-go stycznia poszłam na Nowogrodzką, i EKD (elektryczna szybka kolejka podmiejska) pojechałam do Grodziska, gdyż bałam się przyjechać w ciągu dnia do naszego miasteczka. Z Grodziska miałam 11 kilometrów piechotą do Błonia. Ruszyłam w drogę pełna strachu, i z pytaniem, czy zobaczę jeszcze moją rodzinę. Mój strach powiększył się, gdy przypomniałam sobie, że niektórych mieszkańców Błonia zastrzelono pod Grodziskiem.

Idę tak z jednym zaklejonym okiem, a z moich oczu leją się łzy, które zamarzają na twarzy, taki wielki wiatr i mróz był tego dnia. Przez pięć kilometrów od Grodziska nie spotkałam nikogo, na szóstym kilometrze nadjechał rowerem z przeciwka żandarm. Zeszłam trochę z drogi, żeby zrobić mu więcej miejsca do przejechania, ale specjalnie przejechał blisko mnie i trącił mnie łokciem. Po przejściu kilku kroków zatrzymałam się i owinęłam się lepiej, a jednocześnie, przez ramię spojrzałam, czy morderca odjechał już daleko. Jakże zaskoczona byłam spostrzegłszy, że stoi on patrząc w moim kierunku. Małymi kroczkami zaczęłam posuwać się do przodu, ze strachu nie mogłam iść szybciej. Dalsza droga do chrześcijanina Barca minęła mi w spokoju. Minęło kilka całkiem spokojnych miesięcy, gdyż trochę siedzenia w zamkniętej szafie na ubrania się nie liczy. W początku marca chrześcijanin wrócił

ze swojej nocnej warty o godzinie czwartej rano i powiedział mi, że w ciągu dnia będzie obława, więc lepiej będzie, jeśli nie będzie mnie w domu. Szybko się szykuję, a chrześcijanin po cichu wyprowadza mnie z domu do piwnicy i zamyka, mówiąc, że coś ugotuje i wstawi mi w koszyku, żebym miała przez cały dzień coś do jedzenia, gdyż będzie musiał podczas dnia grzać kotły w niemieckiej łaźni.

Kilka minut później słyszę ciężkie kroki żołnierskie, i słyszę, jak wchodzą po naszych schodach. Byłam pewna, że przyszedł po mnie. Nie wiem całkiem, co się ze mną tym razem stało, bo kiedy otworzyłam oczy światło dnia świeciło już przez szpary drzwi. Rozejrzałam się dookoła i przeszedł mnie dreszcz. Wielkie jak koty szczury stały ustawione jak żołnierze. Jeszcze chwila i skoczą na mnie, zaczynam mruczeć, jak kot, nie ruszają się z miejsca. Poczekalam jeszcze chwilę, gdyż słysząc, że ktoś jest na podwórku, musiałam leżeć w spokoju. Kiedy upewniłam się, że nie ma już nikogo na podwórku, zerwałam się z miejsca, a wszystkie szczury uciekły do swoich dziur. Nie chciałam już dłużej leżeć, tylko przesiadłam się koło drzwi, gdzie siedziałam tak do ósmej wieczorem, nawet bez odrobiny wody. Gdyby ktoś z sąsiadów wylał, chociaż trochę brudnej wody na podwórku, marzyłam, żeby choć kilka kropel spadło na moje usta.

Kiedy chrześcijanin o godzinie ósmej wrócił z łaźni wszedł do domu, otworzył drzwi i z powrotem wyszedł na podwórko i za chwilę do piwnicy, otworzył ją i kazał mi wejść do domu. Kiedy tylko postawiłam pierwsze kroki na podwórku, upadłam. Chrześcijanin wziął mnie za rękę i wprowadził mnie do domu. Jak dowiedziałam się, był przez cały dzień w domu. Zabrał się sam za przygotowanie czegoś do jedzenia i powiedział mi także, że wracając teraz z pracy, wstąpił do gospodyni w karczmie i zapytał, czy wzięto kogoś z domu, że żandarmeria była u niej w domu, i pytała ilu młodych ludzi mieszka w tym domu, powiedziała im, że młoda para z małym dzieckiem, a pozostali to starsi ludzie, wtedy nie szukali już w domu.

Nadszedł 19 marca 1942 roku, tego dnia wypadają imieniny mojego gospodarza, który nazywa się Józef. Nagle słyszę polską rozmowę kilku osób. Z zaskoczenia ukryłam się w łóżku i dokładnie przykryłam się narzutą, którą szybko jeszcze naciągnęłam. Zorientowałam się, że to przyszli znajomi Józefa Barca, życzyć mu, jako solenizantowi, i że nie będzie to trwało długo, ale myliłam się. Pukali w drzwi, chrześcijanin otworzył drzwi i wszedł brat chrześcijanina ze swoją żoną córką i jego kuzyn ze swoją żoną i jeszcze znajomy. Przynieśli ze sobą wódkę, mięso i chleb. Powiedzieli, że przyszli powinszować mu z okazji imienin. Wszyscy zdjęli swoje futra i palta i rzucili na łóżko, na którym leżałam. Leżałam tak i czułam, że nie mogę już złapać oddechu. Leżałam tak od godziny 2 do 6. Wtedy usłyszałam, jak

solenizant mówi, że musi iść jeszcze coś załatwić, bo zorientował się, jak źle muszę się czuć leżąc w ten sposób. Zaczęli żegnać się z solenizantem, który powiedział, że zejdzie razem z nimi. W ten sposób wyprowadził ich z domu i po chwilę wrócił. Byłam już tak osłabiona, że nie byłam w stanie nawet ruszać rękami, żeby móc uwolnić twarz, i ją odkryć. Chrześcijanin podał mi małą szklaneczkę bimbrowy, żeby mnie wzmocnić. Ręka tak mi się trzęsła, że wszystko rozlałam. Chrześcijanin podtrzymywał mnie, jak małe dziecko, żebym nie upadła. Plamy latały mi przed oczami, nie mogłam wymówić żadnego słowa. Pot lał się ze mnie, jakbym była oblana wodą. Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami i upadłam zemdlna. Kiedy otworzyłam oczy miałam rękę w zimnej wodzie, która mnie pobudziła. Następne dni minęły całkiem spokojnie.

Przebywając u chrześcijanina do maja 1942 roku, udałam się znowu na wieś do pracy, żeby trochę zarobić. Nie mogłam wymagać od chrześcijanina, żeby wysyłał paczki do getta, a także pieniądze. On sam nie posiadał wtedy zbyt wiele. Dzielił się tym, co miał, ale zbyt wiele wymagać nie mogę.

Ile wspomnień wywołuje miesiąc maj! Jak pięknie pachniało powietrze, ale kiedy? Dziś z pewnością nie! Idąc sama drogą, przypominałam sobie, jak piękne były majowe poranki, które ja, moje siostry i moje koleżanki spędzałyśmy razem. Ale dziś? Wszystko działa się, jak we śnie. Dziś także idę na majówkę, ale już nie wolna, nie z podniesioną wysoko głową, teraz głowa jest cięższa, spuszczone, przepełniona strachem, rozglądam się na wszystkie strony, czy nie pojawia się jakaś niepożądana osoba.

Na wsi pracowałam do 30-go czerwca, a potem poszłam do Grodziska, aby stamtąd jechać EKD do Warszawy, gdyż na wsi miała się odbyć rewizja za niedostarczanie kontyngentu, a do tego zatęskniłam za zobaczeniem moich bliskich. Niezatrzymywana przez nikogo przyjechałam do Warszawy, gdzie poszłam na ulicę Sosnową, znowu do drutów. Tam byłam świadkiem tragedii, której przyglądanie się rozdzierało serce. Dziesięcioletnia dziewczynka przeciskała się przez druty. Była już w getcie, kiedy dojrzał ją żandarm. Zawołał ją, a przestraszone dziecko zawróciło. Żandarm postawił dziewczynkę na słupie [kłocu], do którego przymocowane były druty, i strzelił w główkę dziecka. Martwa dziewczynka spadła prosto do getta. Stałam jak przykuta do miejsca. Przechodzą ludzie i wpadają na mnie, a ja nie mogę ruszyć się z miejsca. Nie wiem, jak długo tak stałam. Przypominam sobie tylko, jak podszedł do mnie młody mężczyzna, rozpoznałam w nim Żyda. Powiedział mi, że chce mi pomóc przy przejściu. Nie byłam w stanie wymówić słowa, a on powiedział mi, żebym się nie bała. Zapytał mnie i powiedział, że jeśli się nie myli, widział mnie u swojego kuzyna na ulicy Komitetowej. Kiedy trochę się uspokoiłam, także przypominałam go sobie. Zaprowadził mnie

do swojego znajomego chrześcijanina, skąd przez okno dostałam się do getta. Wtedy spostrzegłam, że szczęście dopisuje mi ze wszystkich stron.

Gdy przybyłam do domu moja matka i sąsiedzi powiedzieli mi, że nie powinnam już więcej ryzykować wychodząc z getta, gdyż w ten sposób poległo już wiele ofiar. Nie powiedziałam jej, co sama widziałam.

Pierwszego lipca 1942 roku wyszłam ponownie z getta przez cmentarz na Gęsiej. Kiedy byłam już po chrześcijańskiej stronie i szłam niepewnym krokiem, [znów] byłam świadkiem drugiej tragedii. Niemiecki oficer zatrzymał siedmio- ośmioletniego chłopca, w ręku chłopczyk ten trzymał torebkę z może pięcioma kilogramami kartofli. Dziecko trzęsie się, jak ryba, morderca przywołuje polskiego policjanta i nakazuje mu otworzyć pokrywę kanalizacji. Policjant zrozumiał o co chodzi i odpowiada, że dziecko nic nie zawiniło. Bardzo zdziwiłam się, że policjant się nie bał. Morderca zwrócił się do cywilów, czy ktoś z nich chciałby dobrowolnie wrzucić dziecko do kanału. Nikt nie ruszył się z miejsca. Słysząc było tylko, jak jeden mówi do drugiego, że tego diabła należałoby tam wrzucić, a nie to niewinne dziecko. Morderca widząc, że nikt nie chce wypełnić jego morderczego żądania, schyla się i otwiera sam pokrywę kanału. Dziecko widząc co mu grozi, objęło swoimi trzęsącymi się rączkami stopę mordercy i zawodząco płakało. Bandyta z zimną krwią podniósł drugą stopę i jednym kopnięciem wrzucił nieszczęśliwe dziecko wraz z torebką kartofli do kanału.

Czułam, jak wszystko we mnie obumiera. Niedaleko był sklep z owocami i ze słodyczami. Ostatnimi siłami doszłam do sklepu i poprosiłam o szklankę wody sodowej. Mocno przytrzymałam się drzwi, żeby nie upaść. Zimna woda otrzeźwiła mnie i zaczęłam iść do naszej byłej sąsiadki na Nowy Świat. Idę tak przez kilka godzin i nie widzę Nowego Świata. Znajduję się na rogu Grójeckiej i Opaczewskiej. Sama nie wiedziałabym, gdzie jestem, gdybym nie zapytała chrześcijanki, jak się ta ulica nazywa, tak silne wrażenie wywarł na mnie ten tragiczny obraz, to co zobaczyłam. Nie wiedziałam, dokąd idę, i do dzisiejszego dnia nie wiem, na jakiej ulicy wydarzyło się to nieszczęście. Wieczorem dotarłam do chrześcijanki na Nowy Świat. Opowiedziałam jej o wszystkim, było jej bardzo przykro, ale pomóc nie mogła. Przenocowałam u niej a następnego dnia pojechałam do Grodziska i nie poszłam do Błonia, tylko od razu odeszłam drugą drogą do wsi, gdzie pracowałam. Dochodząc do wsi, poprosiłam, żeby dano znać chrześcijaninowi Barcowi, że wróciłam już z Warszawy. Zasiadłam z powrotem do pracy na maszynie, aby dalej zarabiać na moich bliskich. 11-go sierpnia, w południe, siedzę i fastryguję spódnice, u wójta w domu, wtedy przybiega przestraszona żona sołtysa, i mówi, że trzeba mnie schować, gdyż żandarmi poszukują Żydów. Zostawiam wszystko i wybiegam na podwórko. Nie mam się gdzie schować. Daleko

od stodoły rosły kartofle, pobiegłam tak i położyłam się w liściach kartofli. Leżąc wygrzebałam rękami głębszą bruzdę, i ziemią zasypałam moje stopy, żeby nie były widoczne z daleka, gdyż byłam na bosaka. Dzikie krzyki morderców słyszałam tak blisko, że byłam już przekonana, że zobaczyli mnie z daleka. Słychać było krzyki coraz dalej. Byłam pewna, że u sołtysa nie znaleźli chłopca. Niestety jednak: złapali go. Drugi Żyd był z Warszawy, uciekł w zboże. Chłopca z tego samego miasteczka co ja złapali i kazali mu rzucać się na ziemię i z powrotem wstawać; tak z dziesięć razy. Później jeden z morderców strzelił do niego. I, ponieważ był zły, że drugi uciekł, strzelił do niego jeszcze raz, w głowę. Niewinna krew trysnęła na jego mundur. Morderca wszedł na podwórkę wójta, i rzekł ze złością do kobiety:

- Ty, żydowska matko, daj mi wody, zmyję z siebie tę żydowską krew!

Do wójta i sołtysa mordercy powiedzieli, że czeka ich ta sama śmierć, co tego Żyda. Leżąc tak w strachu pośród kartofli i rozmyślając, czy złapią chłopca, usłyszałam nagle pierwszy strzał. Oczy zamknęły się mi i jakby przeszedł mnie zimny wiatr. Kiedy Niemcy po raz drugi strzelili do chłopca, oczy otworzył mi się automatycznie, i widzę nad sobą niebo, ale nie wiem, gdzie się znajduję. Leżałam tak dwie i pół godziny.

Po odjeździe morderców chrześcijanki zaczęły mnie szukać. Widziały, że wyszłam z podwórka, ale czy byłam w zbożu, czy w kartoflach- tego nie wiedziały. Po długich poszukiwaniach znalazły mnie zemdloną. Odgarnęły z moich stóp ziemię i mnie podniosły. Upadłam znowu, chrześcijanki prowadziły mnie, jak małe dziecko, za ręce. Opisały mi całą sytuację z nieszczęśliwym chłopcem, życie 17-letniego Abrama Mosze Grundwalda, który leży pochowany na polu, jak wiele innych ofiar. Drugi chłopiec, który schronił się u wójta, ze strachu rozchorował się i, jak dowiedziałam się po wyzwoleniu, zmarł w drugiej wsi. Byłam jeszcze w tej wsi trzy dni, aż chrześcijanin Barc przyszedł po mnie. Po drodze Barc opowiedział mi, że kiedy usłyszał, że zastrzelono Żydów na wsi, gdzie byłam, był pewien, że także padłam ofiarą. Kiedy obydwójce przybiliśmy do Błonia, było już wpół do dziesiątej wieczorem. Cicho weszliśmy do domu. Sama nie wierzyłam, że znajduję się u Barca, i że wszystko skończyło się tak szczęśliwie.

15-go sierpnia roku 1942 był dla mnie Jom Kipur. Cały dzień nic nie jadłam, nic nie piłam, tylko wylałam morze łez, prosiłam Boga, żeby dalej darował mi życie, tak, jak do tej pory.

Moje dalsze życie u chrześcijanina Barca wypełnione było ciągłym strachem, miał wciąż głowę zajęta mną: jak mnie ukryć, gdy zapowiadała się rewizja. Gdyby ten człowiek dostał ode mnie worek złota, nie troszczyłby się o mnie lepiej; jak wierny ojciec o swoje dziecko, tak mnie strzegł. Często mówił, że musi mnie tak kryć przed mordercami, a później udowodnił, że jest od nich sprytniejszy.

Nigdy nie zapomnę tej chwili. W **styczniu 1943** urząd pracy rozesłał do wszystkich domów zawiadomienia, że z każdej rodziny musi się stawić jedna osoba, do wyjazdu do pracy do Niemiec. Wielu się nie stawiało i dlatego nadeszły ostre rewizje. Dzieciom, które się chowały, mordercy zabrali ich rodziców i wysłali do Boryszewa, gdzie cierpieli głód i zimno, insekty pochodzące z brudu wygryzły w ich ciałach dziury. Mój wybawca, chcąc mnie ukryć, aby nie znaleziono mnie w domu, wsadził mnie do wielkiego worka i napakował go szmatami, żeby nie rozpoznano, że ktoś leży w worku. Wychodząc z domu powiedział: „jeżeli zostaniesz teraz ranna, mordercy też będą musieli polec, nieważne, że ich życie już teraz nic nie jest warte.” Gdy trochę się ściemniło wziął naładowany nagan, zarzucił sobie na plecy zapakowany worek, i zaniósł mnie do piwnicy. Piwnica znajdowała się pod magistratem, była tam też komendantura, ale ponieważ miał pozwolenie, żeby tam wchodzić, bo grzał w kotłach w łaźni dla Niemców, nikt go nie zatrzymał. Gdyby tylko chciał, mógłby wejść do piwnicy. Miał tam węgiel i trzymał kartofle. Chociaż stała tam przy wejściu straż, nie zatrzymano go tam. W piwnicy leżałam trzy dni. Obok była druga piwnica, pusta, dokąd niemiecki kucharz przychodził każdego dnia zabijać gęś, koguty. Widząc twarz morderców trzęsłam się ze strachu. Gdy przycichły już rewizje Barc wyniósł mnie w worku do domu. Dochodząc do domu powiedział mi, że teraz nie boi się już nikogo. Patrzyłam na niego i nie rozumiałam, dlaczego. Mówi mi wtedy, że w ciągu trzech dni zrobił mi dobrą kryjówkę i zaprezentował mi, że w ogrodzie, który znajduje się naprzeciwko naszego domu, wykopał dół, na tym położył żelazne szyny, na nich deski a potem słomę, a na to śmieci (gnój). Po wojnie ludzie przychodzili oglądać, jak wyglądała moja pieczara. Do tej kryjówki miałam o wiele bliżej niż do piwnicy. Do mojej jaskini miałam do stu metrów. W 1943 często miały miejsce rewizje, spowodowane nie stawianiem się do wyjazdu do Niemiec do pracy. Było też wiele przypadków, kiedy uciekano z pracy, i wracano do domu. Wtedy mordercy szukali nawet w piwnicach, tak więc wiele razy musiałam uciekać do kryjówki. Jeszcze częściej miały miejsce w roku 1944 po powstaniu warszawskim, gdyż wielu chrześcijan uciekło wtedy z obozu w Pruszkowie, wtedy mordercy biegali dookoła, jak rozjuszona bestia.

Raz, o czwartej rano, chrześcijanin wyprowadził mnie z domu, żebym poszła do swojej jaskini. Był pewien, że nikogo nie ma teraz na drodze, miał przy sobie nagan. Odeszliśmy kilka kroków od domu, wtedy słysząc ciężkie kroki, tak jakby szli żołnierze. Przyspieszyliśmy, żeby oddalić się od nich, gdyż nie wiedzieliśmy, kim są. Dochodziliśmy już do bramy ogrodu, a chrześcijanin otworzył ją prędko, weszliśmy do naszego ogrodu cicho zamykając drzwi. Rzuciliśmy się na [śmieci] i, ponieważ było bardzo ciemno, nie spostrzegli nas. Nie wiedzieli nawet, że są tam drzwi do ogrodu. Leżymy tak przestraszeni, co będzie

dalej. Niszczyciele biegają i krzyczą: „Hola!” przebiegają obok drzwi do ogrodu i wchodzi do domu, obok którego ściany jest ukryta moja pieczara. Wychodzą na podwórko i świecą elektryczną latarką do drugiego ogrodu. Leżymy bez ruchu, kiedy spostrześliśmy, że weszli do drugiego ogrodu i tam szukają, chrześcijanin odgarnął trochę śmieci, potem trzy małe deski i wpuścił mnie do środka. Sam po cichu wydostał się z ogrodu.

Idąc do domu ustawił się przy oknie, żeby zobaczyć, kto będzie wracał. Stał tak do godziny wpół do szóstej, i zobaczył, jak dwóch mężczyzn wychodzi z drugiego ogrodu, i jeśli ktoś przechodzi, legitymuje go. Wtedy zrozumiał, że są to dwaj żandarmi.

Przez cały dzień chrześcijanin był w łaźni, a ja z moimi problemami żywa- w „grobie”. Kiedy chrześcijanin wrócił do domu o godzinie ósmej wieczorem z pracy, na początek miał dla mnie ugotowane mleko, jeszcze zanim sam zjadł. Bardzo martwił się, czy mam jeszcze trochę herbaty, bo rano wzięłam sobie bułkę i kiełbasę.

Przeleżałam tak osiem dni, nie widząc jasnego promienia. O godzinie dziewiętej wieczorem przyszedł do mnie chrześcijanin, cicho zdjął deski i powiedział do mnie, że jest spokojnie i że mogę już wrócić do domu. Na zewnątrz mocno padało, wyszłam z pieczary, chrześcijanin zakrył wejście, chcę postawić pierwszy krok, ale zrobiło mi się ciemno przed oczami, i upadłam jeszcze w ogrodzie. Chrześcijanin podniósł mnie i krok za krokiem doszłam do domu, gdzie zdjęłam z siebie wszystko, bo było umazane błotem.

W nocy bałam się spać, wydawało mi się, że idą po mnie. O świcie, gdy chrześcijanin wrócił do domu, powiedział, że jest całkiem cicho.

5-go listopada roku 1944 chrześcijanin wszedł szybko do domu i powiedział mi, że przybyła żandarmeria polowa i całe Błonie jest strzeżone, nikogo nie wypuszcza się z miasta. Powiedziałam wtedy do niego:

- Przepadło. Wybiła moja ostatnia minuta!

Chcę wyjść z domu, żeby dobry człowiek nie padł przeze mnie ofiarą. Jeżeli będzie to możliwe, chcę dojść do miejsca, gdzie znajdowała się moja pieczara, tylko poprosiłam chrześcijanina, żeby szedł drugą stroną ulicy, nie chciałam iść razem z nim.

Kiedy wychodzę na ulicę i stawiam pierwsze kroki, widzę dwóch morderców, którzy legitymują dwie kobiety. Zawrócić już nie mogę, widzę, że jestem już stracona. Spoglądam na drugą stronę ulicy, gdzie idzie Barc, widzę, że wkłada ręce do kieszeni i rozumiem, w jakim kierunku wędrują teraz jego myśli. Szybko zdejmuję szal, który miałam na głowie i obwiązuję sobie zęby. Zbliżam się coraz bardziej do morderców, kiedy mijam ich jeden mówi do drugiego: ból zębów! Więcej nie usłyszałam, nawet mnie nie zatrzymali. Szybkim krokiem przyspieszyłam, żeby znaleźć się jak najprędzej w ogrodzie. Znow leżałam tam przez dziesięć

dni. Potem ponownie wróciłam do domu, minęło znów pięć dni. Barc jest w pracy w łaźni. Nagle podjeżdżają na podwórkę dwa duże samochody ciężarowe, z których wysiada 20 pilotów i chcą wyrzucić wszystkich mieszkańców z domu, żeby zająć ich mieszkania. Na szczęście mieszka w tym domu, aż do dzisiejszego dnia, chrześcijanka, która perfekcyjnie zna niemiecki. Gdy chcieli wyłamać zamek w naszych drzwiach, nie pozwoliła i powiedziała, że gospodarz tego pokoju pracuje dla żandarmerii. Nie wiedziała o mnie, ale było jej szkoda że mogą wyrzucić Barca z mieszkania. Chrześcijanka poszła do komendantury i powiedziała, że pomieszka przez jakiś czas u gospodyni i da swoje dwa pokoje, żeby nikogo nie wyrzucać z domu. Komendant był całkiem zadowolony i nie ruszono nikogo z domu.

Kiedy Barc wrócił z pracy i ujrzał na podwórku automobil, mógł sobie wyobrazić, co przeżyłam tam, w domu. Poprosiłam go, żeby zaprowadził mnie z powrotem do mojej pieczary. Odpowiedział, że nie da się tego zrobić, gdyż wielu żołnierzy stoi na ulicy, ale jeśli chce, może zawieźć mnie do piwnicy, gdyż nie był pewny, czy nie będą chcieli zabrać jego mieszkania, gdyż jest sam. Leżałam więc w piwnicy, nie z tyłu, ze szczurami, ale za schodami obok drzwi. Słyszę wtedy rozmowę, lub inaczej mówiąc kłótnię zmieszaną z reprimendą, byli to jacyś żołnierze w samochodzie, w którym znajdował się radioodbiornik. Jeden z nich oświadcza, że chciałby wystrzelać wszystkich mieszkańców domu, pyta go drugi: „dlaczego?” Tamten mówi, że nikt nie powinien być razem z nim. Krzyczy drugi:

- Dostaliśmy przecież dwa pokoje...Oni też są ludźmi i chcą żyć, tak jak ty. Pomyśl tylko o swoim ojcu, matce, żonie, dziecku, człowieku! Nie mamy już żadnej pewnej ziemi.

Pierwszy żołnierz już się nie odezwał. Słyszając tę mowę bardzo się ucieszyłam, bo jeśli jeden żołnierz może w ten sposób mówić do drugiego, nie jest z nimi aż tak źle.

Wieczorem, kiedy Barc przyniósł mi butelkę herbaty, gdyż jeść nie mogłam wcale, pijąc natomiast bardzo dużo, w ciszy opowiadałam mojemu wybawcy to, co podsłuchiłam. Chrześcijanin mówi mi wtedy, że mogę, jeśli chcę, przejść teraz do mieszkania, gdyż na podwórku nie ma żadnego sąsiada, a z żołnierzy żaden mnie nie rozpozna. Poszłam w ślad za nim i weszłam do domu. Ani żołnierze, ani sąsiedzi- nikt mnie nie zobaczył. I znów przez jakiś czas było spokojnie.

Znów zdarza się, że zaczynają szukać ładnego pokoju dla żandarma, do którego przybyła żona, miało to miejsce 20-go grudnia 1944 roku.

W domu powstało zamieszanie, bałam się schować w szafie, znalazłam drugą kryjówkę: między kuchnią a szafą stoi na ławce kocioł z wodą, usiadłam tam w kącie, a gospodarz zastawił mnie deską do prania bielizny. Ot słyszać kroki na schodach, otwierają u wszystkich drzwi, ale żaden pokój im się nie podoba. Dochodzą do naszych drzwi, gospodarz im otwiera,

wchodzi dwóch żandarmów z psem, trzeci zostaje na korytarzu. Słyszę, jak pies biega po domu. Myślę sobie: „Jeszcze chwila i pies mnie znajdzie” Barc stoi gotowy do walki z naganem w kieszeni, ale wszystko przebiega pomyślnie: nasz pokój także im się nie spodobał. Moją jedyną nadzieją było to, że Rosjanie przyjdą jak najszybciej, wtedy przyjdzie też wyzwolenie.

28- go grudnia chrześcijanin przyszedł w nocy, o godzinie drugiej, i powiedział mi, że przyniesiono młodego człowieka, który jest prawdopodobnie Żydem, ale ma papiery na polskie nazwisko- Stanisław Rutkowski z Rembertowa. Wezwano doktora, który stwierdził, że jest to Żyd. Barc bardzo mu współczuł, gdyż dowiedział się, że siedzi on już cały dzień, bez wody i bez kawałka chleba. Szybko rozpałił ogień i ugotował herbatę i podał to z chlebem i powidłami przez okno aresztowanemu. Policjant, który pilnował aresztowanego, powiedział Barcowi, że powinien być ostrożny. Rano mordercy zastrzelili nieszczęśliwego Żyda.

15go- i 16-go stycznia 1945 roku było bardzo niebezpiecznie, gdyż ukazały się rosyjskie bombowce. Ale z każdą minutą czułam nadchodzące wyzwolenie.

Tak też się stało 17-go stycznia 1945 roku. Dwadzieścia minut po godzinie drugiej po południu, gospodarz otworzył gwałtownie drzwi i wyprowadził mnie na korytarz do okna, z którego ujrzałam pierwszy rosyjski czołg. Z tej wielkiej radości padłam zemdlna, tak, że mój wybawca ledwo mnie ocucił.

Drugiego dnia nikomu się jeszcze nie pokazałam, gdyż nie wierzyłam, że to się naprawdę stało: że jestem wolna. Myślałam, że to tylko mały próba, tak jak to się działo w innych miastach. Barc zatrzymał niektóre czołgi i pytał, czy można już być spokojnym. Czołgiści zapewnili go i powiedzieli, że żadna niemiecka stopa już tu nie powróci.

Wszyscy mieszkańcy domu byli mocno zadziwieni, gdy mnie ujrzeli. Sąsiedzi dziwią się aż po dziś dzień, jak to się mogło stać, że nikt nigdy mnie nie zauważył. Tylko jedna rzecz wydała im się podejrzana: dlaczego chrześcijanin tak często siedział u siebie zamknięty.

Cztery tygodnie później dowiedziałam się o wielkim nieszczęściu, które mnie spotkało: moja matka i dwie siostry zginęły w Treblince, 18-go sierpnia 1942 roku, a moja najstarsza siostra z trojgiem swoich dzieci- 11-go sierpnia 1942 roku. Dowiedziałam się o tym od mojego szwagra, który został przy życiu.

Kończę opis moich tragicznych przeżyć podczas okupacji hitlerowskiej, pełna uznania i szacunku dla mojego szanownego wybawcy, Józefa Barca.

Relia Safot

Błonie 1.04.1947